Tom VI. Nr. 18.

21. Czerwca 1862.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sprawiedliwy sędzia.

Był jeden bogaty i zaszczytami obsypany mąż, który pełnił urząd sędziego z ścisłą surowością. W sądach swoich trzymał się przepisów prawa ledwie nie na ślepo. Na żadne wstawienia się nie miał względu, a też i największemi pieniędzmi przekupićby się nie dał. Szanowano go bardzo, bano się jeszcze bardziej, ale miłości wcale nic nie miał u ludzi.

Pewnego dnia, siedząc sobie na ganku, gdy przypatrywał się zachodowi słońca, wspomniał, że i jego życie także tak zgaśnie, może lada dzień, lada chwila, bo już też latami dobrze był nachylony do grobu.

— Dzięki Bogu — myślał w duszy — spokojnie, jak to słońce, mogę się rozstać z tym światem; bo jak to światło niebieskie oświecało równie złe i dobre uczynki, tak i ja, wyświecając złe i dobre sprawy ludzkie, zyskałem imie sprawiedliwego sędziego. Nikogom nie skrzywdził, nikogom niesłusznie nie obwinił. Występny i oszukaniec zawsze surowie był przezemnie ścigany, bom umiał wymacać wszystkie jego skrytości.

Spokojnie więc mogę położyć głowę; za sprawiedliwość na ziemi, czeka wieczna nagroda w niebie.

Tak mówił sędzia i rad z siebie przechadzał się po dziedzińcu.

W tem ujrzał przechodzącą Zuzannę, ubogą komornicę; a poznawszy ją, zawołał z daleka: — A nie zapominaj-no, że od ciebie czynsz się należy i podatek. — Biedna wdowa przybliżyła się doń z pokorą, trzymając jedno dziecię na ręku, drugie starsze prowadząc, i rzekła z nizkim ukłonem: — Panie mój, znasz naszą nędzę i upadek; Bóg świadkiem, zapłacić nie mogę. Lecz sędzia odpowiedział groźnie: — Nie zapłacisz? w takim razie prawo sobie poradzi. Kto się uiszcza regularnie z powinności swoich, ten tylko może się spodziewać litości u mnie.

Rozpłakała się uboga wdowa, znając surowość sędziego. On zaś spojrzał na nią z pogardą, i skinął, by precz odeszła.

Zdarzyło się, iż w tej okolicy panowała zaraźliwa gorączka, na którą umierało wiele ludzi. I Anioł pański nawiedził także dom sędziego, a oraz stanął przed łożem ubogiej komornicy.

Sędzia przeczuł posłańca śmierci; myśli jego pomięszały się i w oczach zrobiło mu się ciemno. Nagle ujrzał się w jakimś gmachu pełnym światła i wspaniałości; był to tron Najwyższego, i on stał przed nim. Chóry aniołów otaczały w uroczystem milczeniu tron boski, z którego taki blask uderzał, że oczu podnieść nie śmiał, tylko je spuścił na siebie. Ależ jakże się wzdrygnął i przeraził, gdy postrzegł na swojem odzieniu same błoto i plamy, aniołowie patrzyli na niego, a on wstydem spłonął i cofnął się.

Aż oto, o kilka kroków przed nim, klęczała jakaś postać w szacie białej jak śnieg i przejrzystej, która gdy opromienioną twarz podniosła, sędzia poznał w niej komornicę Zuzannę, na którą często patrzał z pogardą; ten widok go przeraził, i rzekł do siebie: — Czy podobna, aby taka prostaczka stawiła się przed Bogiem w szacie, jaką aniołowie noszą; a ja wierny sługa sprawiedliwości, żebym się w łachmanach pokazał?

W tem grzmiący głos zawołał go po imieniu; sędziego mróz przeszedł od stóp do głowy, bo przeczuł, że się straszny sąd nad nim zaczyna. Przed jego oczyma pojawił się obraz; było to więzienie; na zgniłej słomie siedział więzień i wstrząsał kajdanami. W tym więźniu na pierwsze spojrzenie poznał jednego ze swoich dłużników, którego niegdyś był ścigał całą surowością prawa; obok słychać było łkanie opuszczonej małżonki i kwilenie głodnych dziatek, wołających do niego:

— Wydarłeś nam więcej niż życie; bo zabierając nam ojca, skazałeś na głód, na nędzę i wstyd!

Śmiertelna bladość okryła oblicze sędziego, gdy wyczytał przed sobą płomienisty napis pańskiego wyroku:

— Jaką miarą mierzysz, taką ci będzie oddane.

W téj chwili straszny grom zatrząsł niebieskie sklepienie, a oko przedwiecznego Boga błyszczało w ciemności jak trawiący płomień; i głos dał się słyszeć:

— Spojrzyj na swoją szatę, czybyś śmiał stanąć w niej przed obliczności pańską?

Sędzia zakrył sobie oczy i zachwiał się na nogach.

— Jakiego się trzymałeś prawa? — pytał głos.

— Szedłem za sprawiedliwością — wyjęknął sędzia.

I oto otwarła się przed nim ciemna brama, z której przestrach wyglądał jakby z głębi grobu.

I głos znowu zawołał: — Zuzanno! — a głos to był wdzięczny i miły, jak chłodne tchnienie wietrzyka w dniu gorącym, i sędzia usłyszał te wyrazy:

— Zbliż się do mnie Zuzanno! miłość zmazała wszystkie twe grzechy; zbliż się sprawiedliwa niewiasto, coś wolała znosić nędzę i głód, niż przeklinać swego prześladowcę! Pracowałaś dla drugich w pocie czoła, a oni ci zatrzymali zapłatę. Nędza na ciebie przyszła i nikt nie miał litości nad tobą! Dłużników swoich nie powoływałaś przed sądy, i gdy twej pracy znowu potrzebowali, służyłaś im ochotnie, ponieważ czułaś ich potrzebę, jak swoją własną, a nadto nosiłaś w sercu przykazanie twego Zbawiciela i tę nieograniczoną miłość, która wyższa jest nad wszelkie ludzkie prawa i ustawy. —

I oto dwaj aniołowie zstąpili z niebieskiego tronu, niosąc wieniec życia wiecznego, który włożyli na czoło świątobliwej niewiasty, a tymczasem chóry aniołów śpiewały hymn: Zbawiony, kto żyje w miłości! albowiem żyje w Bogu, a Bóg w nim; jedna miłość zbawia na wieki!

Sędzia wyciągnął ramiona do tych niebiańskich postaci, lecz przed nim otworzyła się szeroka przepaść, która go oddzieliła od wybranych; ciemności nocne ogarnęły go, a grom pański ryczał nad głową i pod nogami; w téj okropnéj chwili zbudził się sędzia.

Przestraszony, oblany potem, zerwał się z łoża i zawołał:

— Chwała Bogu! to tylko był sen! Oczy jego szukały blasku dziennego, i nie mogły się od niego oderwać, jak tonący od pobrzeżnej skały. Wtem ciszę poranka przerwało bicie dzwonów, i prawie pod jego oknami rozległ się głos żałobny. Była to Zuzanna, biedna komornica, która umarła na gorączkę i teraz ją prowadzono na cmentarz. Za trumną szły płaczące dziatki, i kilku sąsiadów i sąsiadek oddawało ostatnią usługę.

Sędzia martwy jak kamień patrzał na pogrzeb, a w jego sercu budziło się coś, jakby nowe życie. — O wszechmogący Boże! — zawołał — pozwól mi jeszcze pożyć jaki czas, ażeby ten promień litości, który na mnie zesłałeś w śnie ostrzegającym, przejął mię na wskróś, i wydał ze mnie owoc pożyteczny Panu.

I upadł na twarz, i ukorzył się przed Bogiem w łzach i skruszeniu, gdyż dopiero teraz poznał, że był najgorszym z ludzi, chociaż mu się zdawało, że nie było nadeń sprawiedliwszego człowieka. Kiedy zaś biedne sieroty powróciły z grobu Zuzanny, wziął je za ręce, wprowadził do swego domu i odtąd opiekował się niemi jak własnemi dziećmi.

Od tego czasu sprawiedliwość i miłość chrześcijańska stały obok siebie w każdym jego czynie i wyroku, gdyż nauka, którą odebrał we śnie, mocno się wryła w pamięć; mając przedewszystkiem na myśli osiągnienie wiecznego zbawienia, rządził się czystą miłością, która jest najlepszem prawem na ziemi.

Pożegnanie.

Jadą nasi szeregami, jadą między sady,
I sam ułan z ułanami jedzie Jasio blady;
Każde dziewcze za swym płacze, czy ja cię zobaczę,
Tylko Zosia śród igraszek wesoła jak ptaszek.
Jadą między drzewa,
A Zosieńka śpiewa;
Mijają jej wrota,
A ona chichota —
A tym śmiechem serce Jasiowe się krwawi,
Jedzie, konia wspina i łzy w sobie dławi.

— Smućcie wy się moje pola, wy zielone łąki,
Płaczcie moje bory ciemne, i płaczcie skowronki,
I ty niebo i ty słońce zmień się na płaczące,
Kiedy w nikim, w nikim z ludzi żal płaczu nie budzi!
Łatwiej teraz zginę
Śród krwawego boju,
Bo serce Zosine
Zostanie w spokoju;
Nikomu śmierć moja życia nie zatruje,
Jeno konik zarży i rżąc pożałuje.

Siła szabel, chmury dymu, armat głuche jęki,
Leży Jasio z raną w piersi i bez prawej ręki;
Krew serdeczna wskroś go broczy, mgłą zachodzą oczy,
A ponad nim kruki gwarzą i orły się ważą.
— Nim się w grobie zmieszczę
Lećcie orły, lećcie,
I Zosi powiedzcie,
Że ją kocham jeszcze! —
Westchnął, wspiął się w górę... i upadł nieżywy,
A przy nim żałośnie zarżał konik siwy.

Grześ z Mogiły.

Opowiadanie leśnego.

Głęboko w borach leżajskich nad Wisłą, stała jak gniazdko ptasie między drzewami schowana chata leśnego. A był ten leśny człowiek niedzisiejszy, i wszyscy starym Jacentym go zwali, bo o nazwisku jego nikt pono nie wiedział. Stary był ale jary: ze strzelbiną sznurkami powiązaną obchodził w zimie zawiane lasy, nieraz zajączka przynosił z drogi, a nie obawiał się i wilkowi w jarzące ślepie zaglądnąć. Sam był, samiutki w swojej leśniówce, i tylko staruszka siostra jego strawę mu warzyła, nie ubiegał się też za towarzystwem ludzkiem, owszem, przykro mu nieraz było między ludźmi, bo wtedy spluwał i klął z cicha, że się źle teraz dzieje. Na twarzy jego były jakieś bruzdy, jakby od szabli lub kosy, wzrok tęschny i pochmurny, ale dziwnie jakoś pociągający ku sobie, więc też ludzie szacunek mieli dla niego, a gdy go kto samotnego spotkał na ścieżce lasowej, to chętnie się pokłonił imieniem Jezusa pozdrawiając, i chętnie chwilkę pogwarzył, jeśli go leśny zagadnął. A miał Jacenty o czem opowiadać, bo wiedział on dobrze jakie ziele na jaką jest słabość, gdzie jaki źwierz się kryje i czem się zwykł żywić, wiedział przytem historje świętych i niejedną gadkę z dawnych czasów, a przytem bardzo był uczynnym i sprawiedliwym. Lecz rzadki to był człowiek, z którymby Jacenty dłużej nieco pogawędził; zwykle ci milcząc uczynił niejedną przysługę, a nawet od podziękowania uciekał jak od złego.

Lecz przecież raz, nie wiem już na czyje wesele, zwabiliśmy do wsi starego Jacentego, prosząc żeby starostował. Ja byłem wtedy drużbą; skorośmy więc wrócili z kościoła, nadskakiwałem Jacentemu, nalewając mu miodu do szklenicy, a Jacenty maczał usta i maczał, aż mu się nareszcie oczy zaświeciły i język rozplątał. W dobrym był humorze starowina; a więc gdy gwar trochę ustał, obsiedliśmy go młodzi w jednym kącie, prosząc, żeby nam co ze swoich lat młodych opowiedział.

— Dobrze — odparł Jacenty — powiem wam, ale rzecz nie wesołą, jakie wy to teraz lubicie. Krwawe to były czasy w których ja byłem młody, ale bodaj czy nie lepsze od dzisiejszych. Za piecem wy teraz życie przepędzacie, a ja w nie-

jednej usłudze dla miłej ojczyzny nogi me po świecie schodziłem.

I tu westchnął starowina i machnął ręką niedbale, a gdyśmy się zupełnie uciszyli, tak zaczął:

— Kiedy w r. 1830 w listopadzie powstali nasi, by odzyskać krainę, co ją Moskal opanował, w całej Polsce pociecha była nie mała, że przecież już nam wolność zaświta, i każdy był gotowy oddać ostatni grosik, i przelać krew aż do ostatniej kropelki dla ojczyzny miłej. Każdy co tylko zdatny był do wojska, przypasywał szablę lub strzelbę przewiesił i biegł bić się z Moskalem, a kto nie zdatny, to w domu się modlił gorąco, by Pan pobłogosławił naszej dobrej sprawie. Wieleż to wtedy modłów serdecznych poleciało do tego Ojca co w niebie, ileż łez wylały polskie dziewczęta o zbawienie ojczyzny, a powrót szczęśliwy dla tych do których serce pukało! A z tych co szli na wojnę, każden mówił sobie „zwyciężyć albo zginąć“ i każdy byłby rad z całej duszy oswobodzić nieszczęśliwą tę krainę, którą kochał więcej jak kocha matka jedynaka i więcej jak wszystko na świecie. Ale nie dał Pan Bóg zwycięztwa, bo wieleśmy byli nagrzeszyli, więc On chciał od nas pokuty, chciał męczeństw takich jak byli dawno już temu męczennicy za świętą wiarę chrześcijańską, a Polak nie wzdrygał się przed męczeństwem, bo wiedział że kiedyś Polskę przez nie zbawi.

Na Litwie, co to była częścią jedną polskiej ziemi, w leśnictwie Balinka, mieszkał nadleśny nazwiskiem Kazimierz Szarkowski. Dzielny to był chłop, a polak prawdziwy, i szczerego serca, co był rad każdemu, jak to mówią nieba przychylić. Juści, kiedy widział że pół narodu już się bije z wrogiem i on nie mógł usiedzieć spokojnie, ale go djable do wojaczki parło. Zwołał tedy straż leśną i ogłosił powstanie, a sam stanął na czele. Miał on pod sobą czterystu ludzi, a byli to najwięcej młodzi i tędzy chłopcy, a byłem tam i ja między nimi. Więc do wojenki serce nam skakało, jeno to źle było, żeśmy dość broni nie mieli i nie dosyć byliśmy świadomi co nam właściwie robić przystało. Powiada stara gadka, że złe nigdy samo nie przychodzi, tylko zawsze ze

sobą drugie w parze ciągnie: — otoż i tu dopuścił jeszcze Pan Bóg że zdrada szkaradna popsuła nam wszystko; bo Moskale zapłacili żydków coby im służyli, i żydkowie najbliżsi sąsiedzi pana Kazimierza wydali im gdzie się ukrywa nasz obóz wtedy, kiedy jeszcze nic nie było urządzone. Szarkowski zbierał dopiero pilnie zapasy i ochotników, a myślał, zajrzawszy sobie doskonałe miejsce w puszczy pośród bagnisk i gęstych zarośli, że tam już nas nikt nie wytropi dopóki nie będziem zupełnie gotowi. Lecz czegoby nie wytropił szpieg moskiewski, kiedy go zapłacą workiem świecących rubelków! Taż to paskustwo i pod ziemią i w piekle by wynalazło co mu każą, taki to ma węch dobry! Ale nie długo im potem tego panowania! trochę się tym groszem nieuczciwym pocieszy, trochę pohula, ta i tyle, bo przychodzi śmierć i osądzi go Bóg, Ojciec nasz, co się brzydzi każdym grzechem a cóż dopiero taką ochydą, wybierze mu co najgorsze miejsce w piekle i najokropniejsze męki przygotuje dla zdrajcy.

Lecz wróćmy do swego: Owoż gdy żydkowie wydali już Moskalom ukrycie Szarkowskiego, półkownik rossyjski *Aninkow* wybrał się pocichu na obóz pana Kazimierza, i kiedy się nam ani śniło o niczem, Moskale poprowadzeni przez owych żydów, spadają jak grom niespodzianie. Stanęliśmy tam jak na Polaków przystało, chwyciliśmy za broń i krzyknęli śmiało „hura na wroga"!... a tak silnie uderzyliśmy w tę wrażą czerniawą, że aż odskoczyły z przestrachem pierwsze oddziały Moskali. Lecz trudno! ich było kilka tysięcy doskonale uzbrojonych, a naszych żal się Boże! garsteczka, 400 ludzi, nie przygotowanych wcale do boju. Z początku szło dobrze, bośmy tęgo walili z Boską pomocą, ale wkrótce nie stało nabojów, a potem i ludzi nie stało, bo niektórzy, Panie odpuść, rozbiegli się żeby ujść niechybnej śmierci, reszta legła krwią oblana, a między tymi i ja na pół żywy z kilkoma ranami. Nakoniec został tylko Szarkowski sam i jeden chłopak siedmnastoletni, co nie chciał opuścić swego dowódzcy aż do śmierci, i ciągle broń mu nabijał i podawał. Lecz cóż to pomogło, mój Boże! Niegodziwy półkownik Aninkow kazał pochwycić pana Kazimierza i wier-

nego jego towarzysza, związać ich powrozami jak bydlęta jakie, i prowadzić tak za wojskiem.

Dotąd widziałem naszego pana Kazimierza, gdyż sam zostałem ranny na pobojowisku, i sam doprawdy nie wiem jakem się od śmierci wylizał. A teraz opowiem wam, com poźniej słyszał o dalszych mękach Szarkowskiego.

Owóż pędząc tak tych dwóch za wojskiem Moskale, stanęli wreszcie w jakiejś mizernej wiosczynie o milę; pomyślcie sobie tylko, jak tam było naszym dwom biedakom takim poranionym i skrępowanym wlec się milę całą! A tam porozsiadawszy się sami wygodnie w karczmie, dwoch jeńców wrzucili do karczemnej stajni. Moskale za stołem jedli i pili, wrzeszczeli i hulali; a jeńcy leżą na ziemi i jęczą z bolu, bo powrozy aż do krwi ich cisnęły; nakoniec zrobiło się cicho, Moskale pałki zalali i pozasypiali na stołach i ławach albo i pod stołem i ławą. Niebo było pogodne, tylko kilka chmur ciemnych wiatr pędził po niebie tak, że co chwila księżyc krył się za te chmury i znów wychodził, i było raz jasno to znów zupełnie ciemno. Nieszczęśliwy Szarkowski patrzał w niebo i od razu pomyślał sobie: „Ej! miły Boże! pomóż mi łaską Twoją a ucieknę sobie przy blasku miesiąca, że ani mnie ujrzą więcej.“ Jak pomyślał tak zrobił: dobył sił ostatnich i tak czołgając się przebył kilkanaście kroków, ale cóż! snać już pan Bóg chciał mieć z niego świętego męczennika, bo tak sprawił, że tej chwili kiedy się zbliżał Kazimierz do ostatniej czaty, chmury się rozstąpiły i księżyc zaświecił nagle jasno i silnie na twarz żołnierza co stał na straży, tak, że go zbudził z drzymki i dał poznać uciekającego więźnia. Dziki ten sałdat zda się nie miał serca w piersiach, bo z dziką radością pochwycił naszego pana Kazimierza i powlókł nazad do karczmy. Pan półkownik moskiewski, jak to u nich we zwyczaju, w tej chwili każe szyldwachom dać po sto pałek za karę, a Szarkowskiego... och! moi wy ludzie, to aż człowiekowi wypowiedzieć ciężko, bo serce się kraje na wspomnienie co ten wróg okrutny, ten Aninkow, poczwara, wymyślił za karę dla więźnia. Oto słuchajcie: skrępowanego jak najmocniej, kazał go przewiesić przez płot, a głową na dół! A żeby go jeszcze lepiej

obwarować, kazał ten łotr stanąć całej piechocie koło niego szeregami, cieszył się z własnego dowcipu, śmiał się do rozpuchu i łykał gorzałkę na zabicie sumienia!

Jakżeż ja wam to wypowiem, co za męki przeszedł biedny Szarkowski? co za straszne bole i duszy i ciała? Prosił on tylko Boga po cichu, żeby mu już pozwolił skończyć albo dodał siły; i dodawał mu siły pan Bóg bo nie pisnął ani słówka, nie jęknął ani razu, aby się wrogi nie cieszyli.

Na drugi dzień raniutko gdy niebo poczerwieniało pierwszym brżaskiem, a potem słonko wyjrzało z obłoków to było niby smutne i jakby płaczące nad biednym męczennikiem. Bo też okropnie wyglądał Szarkowski: krew lała mu się ustami, nosem, oczami, uszami, a nawet i z paznokci ciekła. Wtedy Aninkow kazał go wrzócić na wóz, i z tym wozem i z całym oddziałem swoim ruszył do miasteczka Łopochiny. Tam.... cóż kazał zrobić ten wcielony szatan ze swoją ofiarą? Żebyście rok cały odgadywali, to ponoś nie zgadniecie, bo i najgorszy między nami jeszcze by nie wymyślił takiego okrucieństwa! Owóż kazał okrutny Aninkow wielki pal wystrugać kończysto i wbić w ziemię na środku rynku, ustawił w koło wojsko, i na ten pal kazał wbić więźnia, na ten pal moi ludzie!...

Ci co tam byli, drzący i wystraszeni pozakrywali twarze; nasz męczennik blady westchnął raz jeszcze i pośród ciszy takiej jak w grobie uleciała dusza jego do tego Boga, co jej dawał tyle siły, i co jej przeznaczył wieczne mieszkanie w niebie z świętymi i aniołami. A takich jak Szarkowski mieliśmy wielu, wielu, co dla Boga i dla ojczyzny umierali śmiercią męczeńską. Cześć im wszystkim i pamięć wieczna! a światłość wiekuista niech świeci ich duszom! —

Przestał mówić stary Jacenty. Myśmy byli pochmurni i zapłakani, a widzieliśmy, że i jemu łzy w oczach stanęły; pociągnął jeszcze miodu ze szklanki, a potem zerwał się nagle z ławy, splunął i zaklął pocichu, że się źle teraz dzieje, i nie pożegnawszy się nawet z nikim, wyszedł czemprędzej z izby.

Nie widzieliśmy go już więcej; poszedł w głąb swoich borów, bo mu znać bardzo było smutno. Ja nie miałem już ochoty do żadnej zabawy, a gdym się późno w noc położył,

tom się przewracał po sianie i nie mogłem zasnąć, bo mi skrwawiony Szarkowski stał ciągle przed oczyma, a ręce mimowoli w pięść mi się zwijały...

R.......

Wystawa rolnicza w Tarnowie.

W każdym narodzie, co pracą, nauką i przemysłem stara sobie milić życie i pobyt na rodzinnej ziemi polepszyć, zmawiają się nieraz ludzie, aby w tem i owem gromadnie pracować, naradzać się i pomagać jeden drugiemu, i ztąd zawiązują między sobą *Towarzystwa* różnego rodzaju: jedni, żeby handel podnosić i wspierać, inni żeby koło moralności między ludem chodzić i od gorzałki go odmawiać, inni, żeby od ognia bronić, a inni znowu żeby wspierać nauki i starać się o drukowanie tanich książek dla ludzi, i tym podobne. W naszym kraju, gdzie nie ma ani fabryk znacznych, ani handlu zbyt rozwiniętego, chodzą ludzie najwięcej koło roli, więc też rolnikom na podniesieniu rolnictwa najwięcej zależy. Są więc w naszym kraju *Towarzystwa rolnicze*, które się o to starają, aby stósowne ulepszenia w gospodarstwie zaprowadzać, bo nie wszystko tak dobrze jak nasi dziadkowie robili, a świat w swoich wynalazkach i sztukach idzie ciągle naprzód, niejedno lepsze w miejsce starego złego wprowadzając. Więc zastanawiają się takie towarzystwa to nad uprawą gruntu i wszelkiem naczyniem gospodarskiem, to nad sadzeniem i pielęgnowaniem drzew owocowych, to nad pasiecznictwem, to nad leśnictwem, to wreszcie nad chowem bydła, i Bóg tam raczy wiedzieć, nad jakiemi innemi rzeczami, do gospodarstwa wiejskiego należącemi. Żeby zaś zachęcić ludzi do ulepszeń i pilności w gospodarce, urządzają takie towarzystwa *wystawy rolnicze* od czasu do czasu, to jest zapraszają ludzi z różnych stron, żeby kto co ma najpiękniejszego czyto z bydła, czy z ziarna, czy to z drzewa, lnu, konopi, skór, sukna, płótna, czy wreszcie z narzędzi rolniczych — krótko mówiąc, żeby każdy co ma najpiękniejszego ze swego gospodarstwa, zwiózł czy przyprowadził na pewien dzień

i na umówione miejsce, gdzie dopiero wszyscy zwiezione rzeczy oglądają i oceniają, za najpiękniejsze i najpożyteczniejsze okazy nagrodę wyznaczając.

Owóż taka *wystawa rolnicza* odbyła się przed niewielu dniami w mieście Tarnowie. Zjechała się wielka gromada ludzi z okolic Tarnowa a nawet i z miejsc wiele mil oddalonych, a nazwozili ze sobą co niemiara przeróżnych pięknych rzeczy. I tak ślicznego bydła rogatego różnego rodzaju 183 sztuk; koni roboczych i paradnych nie małej wartości 208 sztuk; dalej trzodę chlewną i owce, już w mniejszej liczbie, choć między temi kilka pięknych baranów; dalej 232 sztuk różnych maszyn i narzędzi, między temi samych pługów przeszło 70, a jeden lepszy od drugiego; pięknego zboża i dobrego drzewa nie wiele; dalej okazy mąki cienkiej z różnych młynów, okazy piwa, słodkich wódek, wyroby rymarskie i garbarskie, wreszcie żelazo w sztabach i walcowane. Nawieźli te rzeczy panowie, fabrykanci, kupcy, a wreszcie i chłopi, bo i chłopek ma się czem pochwalić, jeżli porządnie wedle swego gospodarstwa chodzi. Otóż panów i innych tam wypisywać tu nie będę, gdyż by miejsca nie starczyło; lecz za to podam wszystkich włościan, którzy na tę wystawę wyroby, lub bydło swe przyprowadzili, bo to przedewszystkiem na pochwałę zasługuje.

I tak z ładnemi końmi roboczemi przybyli na wystawę: *Marcin Zygar* ze Wzdowa; ze Strusiny *Wiśniewski Michał, Wojciechowski Tomasz, Jeż Marcin;* także *Wiszło Tomasz.* Konie z porządnym wozem i uprzężą przyprowadzili: z Wrzaw *Prażnowski Jędrzej* i *Broda Józef;* z Ostrowa *Muniga Błażej* i *Niedojadło Szymon;* z Radłowa *Duljasz Wojciech* i *Kuklewicz Józef;* z Miechowic wielkich *Wódka Adam* i *Pudło Bartłomiej; Kabat Franciszek* z Wietrzykowic i *Piwowarski Franciszek* z Mędrzechowa. Z bydłem rogatem przybyli: ze Wzdowa *Jan Śmietana, Kaźmierz Śmietana, Michał Knurek* i *Marcin Władyka;* dalej *Mastalesz Maciej* z Lipca; *Piotr Chwałek* z Siebodyna i *Szatko.* Wreszcie oprócz wozu przywiózł *Broda* brony do wyciągania pyżu a *Prażnowski* ruchadło; zaś *Wojciech Śmidziński* z Olesna przywiózł piękne sanie wyjazdowe. Zdaje mi się, żem już wszystkich wyliczył, a może być, żem też i kogo

zapomniał, bo gdzieżby tam zaś pamiętać wszystkich w tak ogromnej ciżbie.

Owóż teraz opiszę wam pokrótce jak się ta cała wystawa odbyła.

Już parę tygodni naprzód wyznaczono w Tarnowie kilku zapobiegliwych ludzi, którzyby się obraniem miejsca na wystawę, postawieniem kilku potrzebnych szop i sproszeniem gości zajęli. Gorliwie wzięli ci się też do roboty, a gdy 4go tego miesiąca wszystko już było gotowe, i ludzie się z różnych stron pozjeżdżali, tak o 10 godzinie przed południem poszli wszyscy gromadnie do kościoła prosić przedewszystkiem Pana Boga, żeby poczciwej pracy błogosławiąc, z pożytkiem i szczęśliwie wystawie do skutku dojść pozwolił. Był tam ludzi tłum nie mały, lecz wszyscy nabożnie i z cichą modlitwą na ustach nabożeństwa wysłuchawszy, udali się potem wprost na miejsce wystawy, gdzie *prezes*, czyli naczelny Towarzystwa rolniczego do całego zgromadzenia przemówił. Dowodził on, jako nam wystawy rolnicze dzisiaj są potrzebne, że kiedy dziś tyle dobrych rzeczy z zagranicy przywożą, tośmy powinni starać się i nasze wyroby i płody ulepszać, aby za zagraniczne pieniędzy z kraju nie wywozić. Zresztą na wystawę zjeżdżają się ludzie z różnych okolic i różnego stanu, więc dobrze, iż się ze sobą zbliżą i poznają, radząc razem w tem i owem, a wreszcie i ciesząc się we wspólnej biedzie.

Na te słowa prezesa odpowiedział pan burmistrz tarnowski że miasto bardzo rade iż może w murach swoich witać tak zacnych i licznych gości, że czem chaty bogate tem im będą rade, a niech wybaczą jeżeli czego zabraknie, bo nie zawsze dobrym chęciom serca odpowiedzieć można. „Witajcież i szczęść wam Boże do pracy!“ zawołał w końcu pan burmistrz, a wszystkim przypadła bardzo do serca ta jego serdeczna przemowa. Więc następnie dziękował jeszcze prezes ze swojej strony, a potem wybierano komisarzy z członków Towarzystwa do osądzenia znajdujących się na wystawie osobliwości, a potem rzuciło się wszystko do oglądania pięknej chudoby, płodów ziemi i narzędzi.

Drugi dzień przeszedł na oglądaniu; aż trzeciego dnia w piątek, że to prawie dzień targowy, postanowiono rozdawać nagrody. Nagrody te otrzymali panowie dziedzice, fabrykanci i inni w medalach srebrnych, brązowych, a wreszcie w listach pochwalnych za najpiękniejszą chudobę i najlepsze maszyny gospodarskie. Lecz przystąpiono niebawem do publicznego rozdania nagród włościanom za najpiękniejsze okazy, a w tym celu pozwolono każdemu co tylko przyszedł na targ do miasta, przyjść na wystawę i przypatrzyć się, lecz że to niejeden nie wiedział o tem, a inny znowu, zwyczajnie jak chudzina nie miał śmiałości iść między panów: więc nie zebrało się zbyt wielu włościan, choć i tak razem z wszystkiemi gośćmi, z panami i z paniami spora tego była gromada.

Więc najprzód odezwał się do włościan pan prezes Towarzystwa, a mówił, iż mu Towarzystwo im podziękować kazało, że także swoją chudobą na wystawę przyprowadzili. Dawniej — mówił pan prezes — byli panowie i poddani, a dziś jesteśmy wszyscy braćmi i sąsiadami, i obowiązkiem naszym jest wspierać się wzajemnie, a nagradzać tych, którzy gorliwą pracą koło roli ojczyźnie się przysługują. Powiedział wreszcie, iż zamiast pieniędzy przeznaczyli za główną nagrodę obraz Matki Boskiej Częstochowskiej; a były te obrazy pięknie na blasze malowane i wyzłacane, a w samej Częstochowie poświęcane, co na każdym z odwrotnej strony przez księdza pisemnie potwierdzone stało.

Po prezesie odezwał się ksiądz proboszcz z Zalasowej i mówił bardzo pięknie, a przypominał to ciągle, że jak inne narody pan Bóg nad morzami osadził i do handlu przeznaczał, tak nam w roli pracować kazał. W roli rodzinnej pracowoć nam też należy i kochać się jak rodzonym braciom.

Ale dopiero najwięcej rozczuliły się serca wszystkich, kiedy wystąpił gospodarz włościanin *Władyka Adam* ze Wzdowa, ze ziemi Sanockiej, a nieuczonym ale serdecznym głosem w te się odezwał słowa:

— Pozwólcie panowie, abym wam podziękował, żeście nas z pod słomianej strzechy przyjęli do swojej gromady; niech wam Bóg wynagrodzi, że nami nie gardzicie! Drukujcie książki dla ludu, ta łaska więcej od złota warta; z tych książek do-

wiedzieliśmy się, że król Piast i wielu jeszcze panów polskich z chłopów pochodzą, że kość z kości, krew z krwi długo się zapoznawać nie mogą. Szanowni księża nasi więcej teraz niż kiedykolwiek zajmują się nami; oby im pan Bóg dopomógł! My zaś chłopy zatrzymajmy dawną cnotę pracy i pamiętajmy, że grzechem to naszym, jeżeli zboże niezebrane spadnie z kłosa, że każde ziarnko stracone obciążać będzie sumienie nasze, bo głód nastąpić musi, a któż z głodu umiera, jeśli nie biedniejsi bracia nasi? Kochajmy więc naszą ziemię rodzinną! Ja mam tylko cztery morgi, a nie dałbym ich za czterdzieści morgów ziemi obcej, nieojczystej. Tak i my i wy panowie pracowitością i oszczędnością brońmy się od niedostatku i łupieży, byśmy matkę naszą, ziemię świętą dzieciom w całości zostawili; łączmy się razem pod znakiem krzyża i miłości bliźniego, a pełniąc wspólnie każdego stanu powinności, silnie się wesprzemy, i kto nam odebrał naszą ojcowiznę, oddać ją musi, bo Bóg sprawiedliwy.

Nie było końca radości i rozczuleniu po tej przemowie Władyki; rolnik z Grębowy wystąpił i uściskał publicznie mowcę ze Wzdowa, i wszyscy się ściskali i cieszyli. Niebawem nastąpiła też i dalsza radość, gdy zaczęto rozdawać nagrody włościanom w obrazach Matki Boskiej i w pieniądzach. Głośno wywoływali imię każdego co nagrodę odbiera, a po oddaniu tejże, grała zawsze muzyka od ucha.

I tak obraz i dwadzieścia reńskich w nagrodę otrzymał: *Piwowarski; Wódka Adam* obraz i 15 reńskich; po obrazie i po 10 reńskich nagrody otrzymali: *Duljusz*, *Kabat* i *Pražnowski;* po samym obrazie dostali: *Wiśniewski*, *Władyka*, *Mastalesz*, *Chwałek* i *Śmietana Kaźmierz;* nagrodę w pieniądzach, bez obrazu otrzymali: *Broda* 15 reńskich, *Muniga*, *Niedojadło*, *Wiszło* i *Wojciechowski* po 10 reńskich, a *Kuklewicz* 5 reńskich.

Radości więc było i z tych nagród nie mało, a już to najwięcej ze ślicznego obrazu Matki Boskiej; kobiety wybierały największe i najmiększe chusty, żeby to tylko bez uszkodzenia dowieść do domu, a tym co tylko same pieniądze dostali było conieco markotno, bo sobie poświęcany w Częstochowie obraz Matki Boskiej nad wszystkie skarby ważyli.

Jeden dzień jeszcze cieszyli się ludzie ze sobą, radzili i biedowali, jak komu co na sercu leżało, ale tego wam już opisywać nie będę, bo mało papieru, a potem skończyła się wystawa: jak wszystko na tej ziemi czy smutne czy wesołe. Boże daj, żeby tylko ludzie jak najczęściej tak pożytecznie się zabawiali.

Grześ z Mogiły.

RÓŻNOŚCI.

Pożar. W obwodzie kołomyjskim wydarzyły się w przeszłym miesiącu dwa pożary, przy których okazały się wyraźne poszlaki że ogień był umyślnie podłożony. Mianowicie 5. maja powstał ogień w Nowosielicy u tamtejszego włościanina Iwana P., a w pięć dni potem zniszczył pożar w Dżurowie pięć chałup włościańskich. Sprawców jeszcze nie odkryto.

Nieszczęsny wypadek. W pierwszy dzień Zielonych Świąt utonął przypadkiem w Hodowicach, w obwodzie lwowskim, kąpiąc się w tamtejszym stawie, Józef L., 19letni chłopak od rymarza, rodem ze Lwowa.

Z tym numerem kończy się znowu jeden tom **„Dzwonka“** *a chwała Bogu już* **szósty;** *od Lipca rozpocznie się tom siódmy, na który znowu o* **jeden nowy reński** *prosimy. Ktoby zaś chciał i ósmy tom zaraz zapisać, to* **dwa nowe reńskie** *musi odżałować. Z tą samą sumiennością i troskliwością pójdą i dalsze tomiki, a jako wszystko idzie naprzód, tak też i my radzi, żeby następne coraz lepsze od poprzednich były. Na dobrej woli i szczerej pracy nie zabraknie; reszta leży w Boskiej pomocy i opiece, której i Was mili bracia oddajemy.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcję: E. Winiarz